WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 7 (177)
Rok V
21 II 1965 r.

W poniedziałek 22 lutego 1965 r. uroczysty koncert Filharmonii Narodowej w Warszawie zainauguruje VII MIĘDZYNARODOWY KONKURS PIANISTYCZNY im. FRYDERYKA CHOPINA, imprezę muzyczną, która przez 3 tygodnie skupiać będzie uwagę wszystkich melomanów, pasjonować ich niczym Wyścig Pokoju kibiców i sportowców. Tak jest od lat, dawnych lat, od I Konkursu Chopinowskiego, który zorganizowano z inicjatywy żarliwego wielbiciela twórczości Chopina prof. Jerzego Żurawlewa w 1927 r. Od tego czasu, co 5 lat (z przerwą okupacyjną) spotykają się wybitni młodzi pianiści z całego niemal świata w Warszawie, aby w szlachetnym współzawodnictwie zdobyć laury wirtuozowskie, laury, które wysoko cenione są na wszystkich kontynentach i otwierają przed ich posiadaczami drzwi najbardziej ekskluzywnych sal koncertowych obu półkul świata.

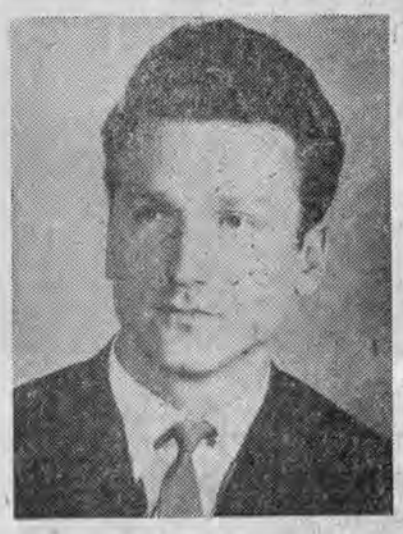

Wiesław Szlachta

Do VII Konkursu Chopinowskiego staje 84 pianistów. Grupę polską tworzy 7 reprezentantów, którzy przeszli przez przysłowiowe „ucho igielne" krajowego jury. Rzeszowscy melomani poznali większość polskich kandydatów w czasie Łańcuckich Wieczorów Chopinowskich, które odbyły się w pierwszej połowie września ub. roku. I tak o sławę polskiej szkoły pianistycznej walczyć będą: Elżbieta Głąb, Maria Korecka, Marta Sosińska, Ewa Wolakówna oraz trzej panowie: Kazimierz Morski, Wiesław Szlachta i Cezary Owerkowicz.

Nasi kandydaci, mimo młodego wieku mają już na swych kontach artystycznych wiele sukcesów na estradach polskich i europejskich, a nawet— jak MARTA SOSIŃSKA — srebrny medal konkursu organizowanego w Rio de Janeiro.

Szczególnie serdeczne myśli rzeszowian towarzyszyć będą MARII KORECKIEJ (zdjęcie u góry), która co prawda nie urodziła się w Rzeszowie, lecz we Lwowie, ale mając pięć lat zaczęła uczyć się gry na fortepianie w rzeszowskiej Państwowej Szkole Muzycznej, w klasie nieodżałowanej prof. Janiny Stojałowskiej, która dała podstawy pianistyczne laureatowi V Konkursu — Adamowi Harasiewiczowi. Maria Korecka jest obecnie studentką Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie i pracuje pod opieką sławnej chopinistki — Reginy Smendzianki.

ELŻBIETA GŁĄB jest urodzoną krakowianką, a obecnie studentką III roku PWSM w Krakowie, w klasie prof. Jana Ekiera. Krakowianką jest również EWA WOLAKÓWNA, studiująca w klasie prof. Zbigniewa Drzewieckiego.

Kilka słów należy się przedstawicielom płci mocnej. KAZIMIERZ MORSKI urodził się w 1939 r. w Borysławiu, studiował w PWSM w Katowicach u prof. Bolesława Woytowicza, a następnie w Warszawie u prof. Drzewieckiego. Warszawską PWSM ukończył z wyróżnieniem i jak pamiętamy kandydował do VI Konkursu Chopinowskiego przed 5 laty.

Najstarszy wiekiem jest WIESŁAW SZLACHTA, asystent w PWSM w Katowicach. Urodził się w marcu 1937 roku w Turzy Śląskiej.

Polską ekipę zamyka CEZARY OWERKOWICZ.

Za kilka dni przed międzynarodowym jury, któremu przewodniczy znakomity pianista, pedagog i gorący propagator muzyki polskiej prof. Zbigniew Drzewiecki (będący członkiem jury od pierwszego konkursu, a czwarty raz z rzędu jego przewodniczącym) rozpoczną się popisy najzdolniejszych i najambitniejszych pianistów młodego pokolenia. Oby utrzymali oni wspaniałą tradycję zdobywania czołowych miejsc, zaszczytnych laurów, którymi szczycą się m. in. Halina Czerny-Stefańska, Witold Małcużyński i Adam Harasiewicz.

M.G.

JAN GRYGIEL

„Młodzież nie powinna się nudzić"

Sesja wyjazdowa dwóch Klubów Stowarzyszenia Dziennikarzy — Publicystów Polityki Kulturalnej i Oświatowo-Wychowawczej, która odbyła się w naszym województwie z początkiem lutego br. miała przebieg i uroczysty i bardzo pracowity. Uroczysty, gdyż w powodzi rozmaitych rocznic i jubileuszów i tu się bez nich nie obeszło. Była to bowiem 20 sesja Klubu Publicystów Polityki Kulturalnej, czyli także jubileuszowa. Poza tym w czasie jej trwania dokonano otwarcia 150 w Polsce (jubileuszowej) galerii obrazów dla Szkół Tysiąclecia — w Skołyszynie w pow. jasielskim. Nic dziwnego, że oprócz przeszło 50 dziennikarzy z całego kraju wzięli w niej udział liczni przedstawiciele władz centralnych i wojewódzkich oraz organizacji i instytucji związanych z działalnością kulturalno-oświatową.

O ilości zaś pracy i wysiłku, który musieli dać z siebie jej uczestnicy w ciągu dwóch dni trwania sesji świadczy, w pełni zrealizowany, jej program — 8 spotkań w kilku miejscowościach województwa. A więc kilkugodzinne spotkanie informacyjno-dyskusyjne z władzami partyjnymi i kulturalno-oświatowymi województwa w Rzeszowie; następnie spotkanie z zespołem „Meluzyna" w Domu Kultury WSK; wyjazd do Wzdowa — tam wysłuchanie referatu o pracy z młodzieżą ZMW i informacji dyr. Uniwersytetu Ludowego Macieja Skowrońskiego na temat form szkolenia wychowanków placówki oraz profilu przyszłych programów wychowawczych U. L. i wreszcie spotkanie z regionalnym zespołem pieśni i tańca z Glinika Zaborowskiego — to wszystko w pierwszym dniu. Nazajutrz wyjazd do Krosna, w klubie ZMS — w „Szklanej grocie" dyskusja o pracy wśród młodzieży ZMS i ZHP na terenie województwa i zwiedzanie huty szkła. Później spotkanie w Jaśle z władzami powiatu, udział w uroczystości otwarcia galerii obrazów w szkole w Skołyszynie i rozmowy z członkami amatorskiego zespołu artystycznego w Niegłowicach. Nie można się było uskarżać ani na monotonię, ani na brak informacji o pracy k.o. z młodzieżą.

Z młodzieżą, gdyż temat sesji organizatorzy sformułowali następująco — „Młodzież nie powinna się nudzić". Taki temat wymagał zapoznania się z działalnością kulturalno-oświatową i artystyczno-rozrywkową wśród młodzieży, zasięgiem tej działalności i jej formami we wszystkich tych organizacjach i placówkach, które prowadzą pracę z młodzieżą. Trzeba stwierdzić, że wszyscy zainteresowani, a więc Wydział Kultury Prez. WRN, władze szkolne, WKZZ, ZMS, ZHP, ZMW, „Ruch" dostarczyli sesji wyczerpujących i szczegółowych informacji o całokształcie swej działalności k. o., a także postarali się o konkretne przykłady pracy. Gdyby nie te przykłady, które zresztą szczególnie zainteresowały dziennikarzy — z ogólnych informacji udzielanych przez przedstawicieli organizacji i instytucji, pełnych zestawień statystycznych wynikałoby, że w Rzeszowskiem prowadzi się pracę z młodzieżą, lecz nie wynikałoby, jak się ją prowadzi. Czy na tyle atrakcyjnie, że młodzież rzeczywiście się nie nudzi, czy nudzi się właśnie z powodu tych zajęć?

Z materiałów i informacji udzielonych uczestnikom sesji odnieśliśmy wszyscy wrażenie, że województwo rzeszowskie może poszczycić się wysokimi osiągnięciami w pracy kulturalnej, dużą dynamiką działalności tego typu, wreszcie, co chyba najważniejsze, trzeźwym, gospodarskim rozeznaniem potrzeb i możliwości w tej dziedzinie poszczególnych środowisk. I mimo braku środków inwestycyjnych, mimo wielkich zaległości w budowie placówek i urządzeń kulturalno-oświatowych w wielu jeszcze wsiach i małych miasteczkach, mimo spóźnionego startu w stosunku do innych województw (walki z bandami) zajmujemy jedno z pierwszych miejsc w kraju w realizacji polityki kulturalnej. O chłonności i wciąż rosnącym zapotrzebowaniu wsi rzeszowskiej na działalność kulturalną i artystyczną mogą świadczyć czyny społeczne w tej dziedzinie. **W roku 1964 zbudowano z funduszów społecznych 22 wiejskie domy kultury i 3 świetlice, a trwa jeszcze budowa 84 wiejskich domów kultury, 2 powiatowych domów kultury i 7 świetlic.** O spontaniczności w tej dziedzinie świadczą także liczne zespoły amatorskiego ruchu artystycznego (około 600) bardzo dobry poziom czytelnictwa na wsi, największa w Polsce ilość wiejskich placówek bibliotecznych, czy wreszcie ciągły i szybki rozwój klubów prasy i książki „Ruchu" i klubów kawiarń GS-u, których obecnie działa w województwie ponad 400. Wymowa tych kilku cyfr jest jednoznaczna.

W czasie sesji padło bardzo wiele jeszcze równie efektownych wyliczeń, tak że z początku nasi goście przyjmowali je z pewnym sceptycznym niedowierzaniem i w czasie dyskusji usiłowali wysondować, co kryje się za tą „poezją cyfr". W dalszych kontaktach i spotkaniach sceptycyzm znikł, pozostało uznanie dla dobrej roboty.

Duże zainteresowanie i wiele pytań wzbudziła informacja o pracy ZMW wśród młodzieży na wsi. Była ona chyba najlepszym przykładem dobrego rozeznania potrzeb i warunków pracy kulturalno-oświatowej na wsi oraz mądrej celowości tej pracy. Głęboka troska o los młodzieży wiejskiej, której nie udało się dostać do szkół średnich i zawodowych, organizowanie dla niej form dokształcania i wychowywania, to jeden z bardzo ważnych kierunków działania organizacji. Na uwagę również zasługuje akcja wprowadzania właściwego wykorzystania na wsi środków masowego przekazu treści oświatowych, kulturalnych i artystycznych — filmu oświatowego i telewizji. Dzięki inicjatywie ZMW powstają społeczne komitety zakupu telewizorów do świetlic i klubów wiejskich. Z funduszów zebranych od różnych organizacji na wsi i dobrowolnych składek chłopów zakupiono już około 300 telewizorów. Odgrywa to wielką rolę w zacieraniu różnic cywilizacyjnych, kulturowych i obyczajowych między miastem a wsią i jest udaną próbą unowocześnienia pracy ko. Cenną formą pracy ZMW na wsi są tzw. „szkoły zdrowia" i Komitety Higienizacji Wsi. Bardzo owocna okazała się współpraca organi-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Elżbieta Głąb

Cezary Owerkowicz

Marta Sosińska

Ewa Wolak

Kazimierz Morski

Fot. CAF

Spotkania po 20 latach

Gwiazdy Reczkałowa

Był jednym z czołowych asów radzieckiego lotnictwa myśliwskiego w czasie II wojny światowej. Jego nazwisko wymieniano w parze z lotnikami tej miary co Kożedub lub Aleluchin.

...Gregorij Andrejewicz Reczkałow, dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego.

Wojenna sława asów myśliwskich sięgała wtedy daleko. Znali ich dobrze radzieccy lotnicy, głośno mówiono o nich w komunikatach wojennych... Ale sława ich sięgała jeszcze dalej, bo aż hen poza linię frontu, po niemieckie sztaby i lotniska.

Hitlerowscy piraci nieomylnie rozpoznawali ich w powietrzu. Asy radzieckiego lotnictwa walczyły często z otwartą przyłbicą. Gregorij Andrejewicz Reczkałow prezentował przeciwnikowi swoją godność inicjałami „RGA" — wymalowanymi na burcie swojego samolotu. Chcąc się dać im lepiej poznać malował na kadłubie samolotu gwiazdy. Ile gwiazd na kadłubie — tyle hitlerowskich samolotów na ziemi...

Te igraszki radzieckich asów myśliwskich budziły u wroga mieszane uczucia — wściekłości i strachu.

* * *

Każda gwiazda wymalowana na kadłubie samolotu — to znak bojowego mistrzostwa. Kadłub samolotu Reczkałowa pokrywa sześćdziesiąt i jedna gwiazda. Same one z nieba nie spadły. Każda gwiazda — to jedna walka powietrzna uwieńczona strąceniem jednego samolotu przeciwnika.

W sumie as ten stoczył 122 walki powietrzne. Rachunek jest więc prosty: Reczkałow posyłał na ziemie co drugi samolot, z którym wdał się w walkę.

W momencie kiedy Niemcy hitlerowskie ogłosiły kapitulację miał dwadzieścia pięć lat, ponad pięćset wylotów bojowych, sześćdziesiąt cztery strącone samoloty przeciwnika oraz dwie gwiazdy Bohatera Związku Radzieckiego.

Reczkałowa spotkałem w Moskwie, latem ubiegłego roku. Ma obecnie 44 lata i jest generałem-majorem lotnictwa.

Dziś trudno uwierzyć, że to powodzenie w lotnictwie nie było wróżone Reczkałowowi. Bo jego prawdziwe życie lotnicze zaczęło się tak:

W 1941 roku Reczkałow odwiedził komisję lotniczo-lekarską. Poddany okresowym badaniom lekarskim przechodził z gabinetu do gabinetu, od lekarza do lekarza, aż wreszcie utknął u okulisty.

— Niedobrze — pokiwał głową specjalista — nie odróżniacie kolorów. Komisja zastanowi się co z wami zrobić.

Komisja zastanowiła się i orzekła: Reczkałow nie może latać.

To mu już zepsuło humor na dobre. Rozstrojony nerwowo wsiadł do pociągu i wrócił do macierzystego garnizonu. Ledwie wysiadł z pociągu, a na stacji — jak złe echo — rozniosła się wieść: Niemcy hitlerowskie atakują granice Związku Radzieckiego...

Nie tracąc chwili jedzie Reczkałow prosto na lotnisko. Melduje się u dowódcy i informuje go o orzeczeniu lekarskim.

— Ależ bieda — mówi dowódca — nie odróżniasz kolorów! A powiedz mi Reczkałow, czy potrafisz odróżnić samolot przeciwnika od swojego?

Gen. GREGORIJ RECZKAŁOW

— Odróżnię!

— Oto widzisz, stoi „Czajka" numer 13, siadaj i lataj.

Tego samego dnia Reczkałow wyleciał sześć razy. Z „Czajki" przesiadł się na samolot „I-16" i wkrótce zdobył pierwsze trofeum myśliwskiego pilota — gwiazdkę za strącony samolot „Ju-88".

Któregoś dnia ogłoszono w pułku alarm: dwanaście junkersów z bombami podąża na Kiszyniow... Na spotkanie z nimi wychodzą trzy samoloty myśliwskie, a w ich składzie samolot Reczkałowa. Śmiałymi atakami radzieccy myśliwcy odprawiają przeciwnika daleko poza linię frontu. Reczkałow wraca na lotnisko z uszkodzoną od kuli nogą.

Zły los prześladuje go. Musi opuścić pułk bojowy. Przenosi się do szkoły, a tam oddają mu do dyspozycji samolot szkolno-treningowy U-2.

— Na takim mam latać — krzyczy, kłóci się i pisze raporty.

Tymczasem noga niepokoi go coraz bardziej. Musi poddać się operacji.

* * *

Skierowany do nowego pułku trafił na Kubań, prosto do eskadry Pokryszkina. Po chwilach niepowodzeń zaczął się dobry czas dla Reczkałowa. W pułku dał się poznać jako doświadczony myśliwski taktyk. Celował szczególnie w wyłapywaniu pojedynczych samolotów i innych obiektów.

Oto leci sobie na 5—6 tysiącach metrów wysokości. Daleko przed sobą dostrzega dwa ME-109, lecące z kursem nad terytorium Związku Radzieckiego. Reczkałow spokojnie przepuszcza je pod sobą, a następnie zawraca i puszcza za nimi serię ognia. Jeden posyła na ziemię, drugi — zawraca z obranej drogi.

Innym razem ugania za samolotami transportowymi, odpędza junkersy od Krymu, niszczy pociągi, samochody i artyleryjskie pozycje.

W tym czasie zostaje wyróżniony kolejno orderem „Czerwonej Gwiazdy" i orderem „Aleksandra Newskiego". W 1943 roku Rada Najwyższa ZSRR odznacza go dwukrotnie Złotą Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego.

* * *

W lipcu i w sierpniu 1944 roku wojska radzieckie rozwinęły natarcie na obszarze Ukrainy Zachodniej. 1 Front Ukraiński, po rozbiciu dwóch niemieckich armii oraz węgierskiej pod Lwowem, forsował San.

W składzie tego frontu przybył na terytorium Polski 16 gwardyjski pułk lotniczy dowodzony przez majora Gregorija Andrejewicza Reczkałowa, dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego.

Pułk osiadł na lotnisku frontowym w Tarnobrzegu, skąd prowadził działania bojowe w rejonie Sandomierza, Kielc, Radomia i innych miast.

Działając na korzyść wojsk naziemnych lotnicy Reczkałowa nie zaniechali „polowań" starym wypróbowanym sposobem.

...Lecimy sobie na tyły, wyłapujemy samoloty, bijemy wojska i wracamy do Tarnobrzega.

Kiedyś wybrałem się na „polowanie" z lejtnantem Gołubiewem. Na szlaku kolejowym Skarżysko-Sandomierz spotykamy eszelon wojskowy. Wiemy co to znaczy... Nieprzyjaciel ściąga posiłki w rejon Sandomierza. Nie przepuścimy. Bijemy po lokomotywie i po wagonach. Nie pomyliliśmy się. Z wagonów wysypali się żołnierze.

Lecimy dalej, nad Radom. Tam jest lotnisko niemieckie, a na lotnisku mogą być samoloty. Sprawdza się nasze przypuszczenie. Z dwóch ataków niszczymy z Gołubiewem cztery hitlerowskie maszyny.

* * *

Generał-major Reczkałow przyszedł na spotkanie z grubym notesem. Wypełniają go zapiski uchronione z dni wojny, a uzupełnione notatkami z dokumentów archiwalnych.

Z tych notatek dowiaduję się, że Reczkałow strącił nad Polską dziewięć samolotów hitlerowskich, z tego trzy nad Sandomierzem.

Z zapisków tych wyłaniają się postaci dzielnych lotników. Poznaję Saszę Klubowa, dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego, który zniszczył nad Polską trzy samoloty przeciwnika, a wszystkich około czterdziestu. Klubow zginął w rejonie Stalowa Wola — Nisko.

Zostawił Reczkałow w Polsce dobrego lotnika, lejtnanta Żerdiewa. Ten posłał na polską ziemię dwa nieprzyjacielskie samoloty bombowe i jeden myśliwski. Zginął w walce nad Tarnobrzegiem.

— Pamiętam — wspomina Reczkałow — pochowaliśmy go w Tarnobrzegu. Czy zachowała się jego mogiła?

Polska ziemia gęsto usłana jest mogiłami żołnierzy. Któż wie czy ta jedna nie zrównała się z ziemią...

Napisałem list do władz miejskich w Tarnobrzegu. Sekretarz Prezydium PRN, St. Włudarski nadesłał wiadomość: w wykazie żołnierzy poległych na terenie Tarnobrzega figuruje nazwisko lotnika, lejtnanta Żerdiewa. Zwłoki jego zostały w 1945 roku ekshumowane na cmentarz wojskowy w Sandomierzu. Lejtnant Żerdiew został pochowany w zbiorowej mogile oznaczonej numerem 345.

Z notatek Reczkałowa wyłania się obraz wojennej Polski. Pamięta on wiele miast i wsi. Zachował w pamięci wiele interesujących epizodów. Dziś marzy o jednym — odwiedzić Polskę, kraj, w którym zostawił wielu przyjaciół.

KAROL SZELĄG

ALEKSANDER ŻYGA

Zanim Maria Bartusówna (1854—1885), chrześniaczka urodzonego w Radymnie powieściopisarza Jana Zachariasiewicza, przybyła w sierpniu 1881 roku jako nauczycielka do Nienadowej, miała już poza sobą trzyletni staż w tym zawodzie. Uczyła 3 lata w szkole ludowej w Sokolnikach pod Lwowem, wydano jej w roku 1876 tomik niezłych poezji lirycznych, była współpracowniczką licznych pism galicyjskich i warszawskich. Mimo niewątpliwego talentu poetyckiego, uderzającego często w struny poezji ludowej i romantycznej, a szczególnie uwielbianego przez nią Lenartowicza, któremu poświęciła aż trzy wiersze, poezja nie przysporzyła Bartusównie środków do życia. Mimo że wśród współczesnych uważano ją za najlepszą poetkę po Asnyku i Konopnickiej, mimo że miała nawet licznych protektorów w lwowskich i warszawskich rodzinach arystokratycznych (hr. Borkowska i Krasińska), mimo rzadko wypłacanych poetce i lichych honorariów autorskich — często dogorywała głodem. Wobec braku środków do życia, gdy zawiodły nadzieje zostania aktorką, Bartusówna postanowiła poświęcić się pracy nauczycielskiej w szkołach ludowych. Po zdaniu w roku 1878 egzaminu pierw

JAN MATERNICKI „autoportret" (olej)

„Młodzież nie powinna się nudzić"

(Dokończenie ze str. 1)

zacji z bibliotekami. Około 400 członków ZMW pełni funkcję bibliotekarzy gromadzkich lub wiejskich, a nad 420 punktami bibliotecznymi koła ZMW sprawują opiekę.

To oczywiście tylko niektóre dane z zakresu pracy z młodzieżą tej organizacji na wsi, ale nie przynoszą jej wstydu. Uniwersytet Ludowy we Wzdowie i jego młodzież (zgotowała uczestnikom sesji bardzo efektowne i stylowe przyjęcie) oraz zespół z Glinika Zaborowskiego pracujący pod patronatem Zarządu Wojewódzkiego ZMW stanowiły przykład twórczej atmosfery wytwarzanej przez tę organizację.

Podobał się także dziennikarzom i gościom styl pracy ZMS zaprezentowany przez klub zakładowy „Szklana grota" w Krośnie. W ożywionej dyskusji, pełni zainteresowania dziennikarze pytali o program działania takich klubów, o formy zajęć, o zasięg oddziaływania. Dowiedzieli się, iż ZMS patronuje kilkunastu takim klubom w miastach i miasteczkach, i że wszystkie one stanowią atrakcję dla młodzieży. Tam również wyczerpująco przedstawili bogaty program pracy oświatowej, kulturalnej i artystycznej w swoich szeregach reprezentanci rzeszowskiej Chorągwi ZHP. Związki zawodowe obok informacji, w której przekonywająco ukazano troskę o kulturę w podległych ogniwach i placówkach zaprezentowały sesji jeden z najwybitniejszych amatorskich teatrów słowa w kraju „Meluzynę" — wielokroć nagradzaną czołowymi nagrodami na ogólnopolskich festiwalach i konkursach. Zespół pokazał fragmenty spektakli poetyckich oraz „Rzeszowską szopkę" i spotkał się z bardzo życzliwym przyjęciem uczestników sesji. O aktywności wreszcie i powodzeniu w upowszechnieniu plastyki wśród młodzieży, czyli o dobrej robocie BWA i środowiska rzeszowskich plastyków świadczyła piękna uroczystość w Skołyszynie — przekazanie szkole galerii obrazów w połowie składających się z prac plastyków rzeszowskich.

Przytoczyłem w tym komentarzu tylko niektóre wybrane przykłady osiągnięć w pracy kulturalnej, nielicznych organizacji i placówek. Nie mam zamiaru ani ambicji dokonywać jakiegoś podsumowywania osiągnięć polityki kulturalnej województwa. Nie chcę także sugerować, że w tej działalności brak cieni, niedociągnięć, czy wręcz nieporozumień. O nich często piszemy i będziemy pisać nadal. Mimo to ogólny wynik daje wiele powodów do słusznej dumy i napawa optymizmem. Tu już nie chodzi o to, czy młodzież się nudzi czy nie — nudzić się można także na balu sylwestrowym — chodzi o to, czy istnieją warunki, by ta młodzież mogła pożytecznie i atrakcyjnie spędzać swój wolny czas, czy stworzyliśmy możliwości oddziaływania dokształcającego i wychowawczego, kształtującego jej postawę wobec współczesności? Na to pytanie mamy pełne prawo odpowiedzieć — tak! I z tym też przekonaniem wyjechali od nas uczestnicy sesji. Wywieźli dobrą opinię o naszych ambicjach i osiągnięciach. Tę dobrą opinię już zaczęli ogłaszać na łamach prasy ogólnopolskiej i rozgłośniach radiowych. A to zobowiązuje na przyszłość.

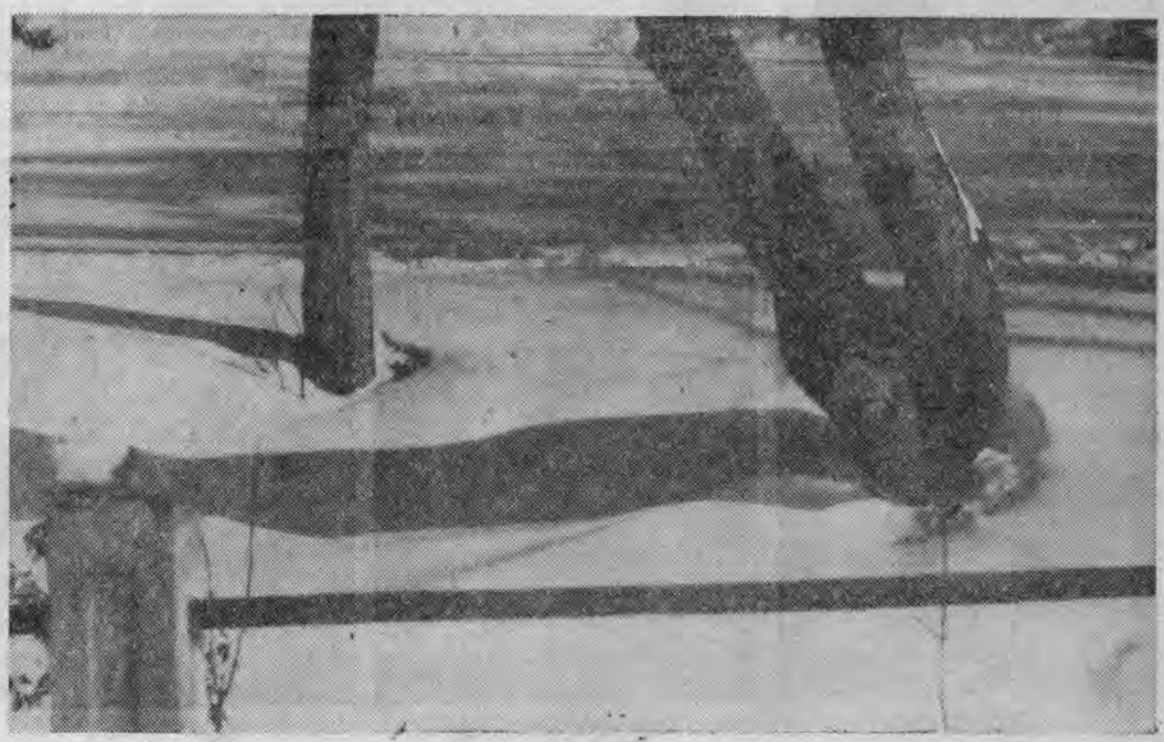

Fot. MICHAŁ KOPEĆ

POETKA „SIŁACZKA" W NIENADOWEJ

szy jej występ nauczycielski w Sokolnikach przyniósł jej nawet uznanie i pochwały. Wakacje tego roku spędziła poetka u Zamojskich w Wysocku. Jednakże szerzenie przez poetkę wśród dzieci wiejskich patriotyzmu oraz incydenty z gronem nauczycielskim zmusiły ją do opuszczenia Sokolnik i przeniesienia się do Nienadowej.

W przeciwstawieniu do szkoły w Sokolnikach, obsadzonej przez kilku nauczycieli, praca w Nienadowej, wiosce zacofanej i w większości zamieszkałej przez ludność ruską, postawiła ją w sytuacji „Siłaczki" Żeromskiego. Obraz wegetacji poetki w Nienadowej i jej borykanie się z zacofanym środowiskiem nakreśliła Maria Konopnicka w ślicznym, i zdaje się, na autentycznej relacji opartym, wspomnieniu pośmiertnym drukowanym w warszawskim „Świecie" (1886). Była tu Bartusówna jedyną siłą nauczycielską, która w stojącym na uboczu budynku szkolnym, pokrytym strzechą, a wewnątrz porosłym grzybem, musiała wśród zimna i wilgoci uczyć nie tylko dzieci, ale zdobywać dla szkoły ich rodziców.

Ciężkie warunki pracy w nienadowskiej szkole nie sprzyjały poezji. Wśród wierszy pisanych w tym okresie nie ma żadnego, który by datowany był w owej zapadłej wiosce. Wyjątek stanowi napisana tu pełna rozpaczliwego humoru parodia: „Naśladowanie z Goethego", które poetka dołączyła do listu swej przyjaciółce Jaroszyńskiej we Lwowie:

„Znaszli ten kraj,
Gdzie wstęga San się wije?
Gdzie lasów cień
Półdzikie ludy kryje?
Gdzie buja wiatr
A bieda z nędzą w parze
Pasterska pieśń
Przygrywa na fujarze.
Gdzie stanął czas,
Nie mówiąc ani słowa,
Znaszli ten kraj?
Ach! to jest Nienadowa!
Znaszli ten gmach,
Na którym grzyb porasta?
A który wzniósł
Architekt z czasów Piasta?
Co wokół dziur
Koronką lśni przejrzystą,
Przez które w gwiazd
Przegląda twarz złocistą,
Gdzie w raczych gzach
Skacze tu mysz po głowie,
Znaszli ten gmach?
To szkoła w Nienadowie

Na okres pobytu Bartusówny w Nienadowej przypada korespondencja poetki z Teofilem Lenartowiczem. Jeden z jej listów adresowany do Nienadowej, zawiera jedyne naówczas słowa otuchy dla poetki:

Na list Twój, otrzymany przed chwilą — odpisywała adresatka z Nienadowej — tyle myśli przebiegło mi przez głowę, tylu łzami napełniło się serce, że muszę koniecznie zaraz je wysłowić, wypłakać choć to już jedenasta w nocy... a przede wszystkim racz przyjąć serdeczną moją podziękę za słowa otuchy i współczucia, które po raz pierwszy dopiero na tej mojej drodze spotykam!

W krótkim jeszcze moim życiu przeszłam twardą szkołę sieroctwa i nieszczęścia, więc jako ostatniej deski... chwyciłam się myśli zbawczej — być chociaż użyteczną ojczyźnie na tym polu właśnie, z przyczyny, że nikt godniejszy stanowiska podobnego zająć nie chce i niwa ta może najżyźniejsza leży wszędzie odłogiem, lub, co gorzej, bywa uprawiana przez ludzi ograniczonych i obojętnych, a często — i niestety — bez wszelkiej wiary i moralności(...).

Walczyłam z nędzą, zimnem, głodem, opuszczeniem zupełnym i ohydnymi ludzkimi intrygami, tak surową zazdrością chlebową, lecz nie upadłam, bo miałam wiarę w ludzi i w siebie. Dziś upadam i ta wiara się zachwiała(...).

Dotąd nikt nie pocieszył mnie Twoimi słowy! Szyderstwo i niewiara towarzyszą mi, zabijając każdą myśl gorętszą. Władze szkolne chcą mieć z nauczyciela tylko biernego najemnika, posłuszne narzędzie swojej woli. Lud widzi w nim toż samo, mając go oprócz tego za swego największego nieprzyjaciela z powodu ciężaru, jaki na niego szkoła za pośrednictwem nauczyciela nakłada. Bo w ujarzmionej naszej ojczyźnie każdemu wolny oddech zaparło i żadnej siły nie zapomniano skrępować(...).

Ja się wprawdzie nie oglądam i ciągle wybiegam poza oznaczony zakres utrzymywaniem moim celom biblioteki, uczeniem historii i powieści narodowych, zresztą całą naukę ku temu skierowaną... Lecz to mnie naraża, to było przyczyną, że musiałam opuścić strony rodzinne i tu w nieznanym mi całkiem świecie... zupełnie bez rodziny, bo tej nie mam, i bez przyjaciół, których zmuszono mnie rzucić — zamieszkać".

Na okres pobytu Bartusówny w Nienadowej przypadła tu współpraca z „Wieńcem" i „Pszczółką" księdza Stojałowskiego.

Jedyne chwile, które Bartusówna mogła wówczas poświęcić poezji, zawdzięczała hrabinie Aleksandrze z Krasickich Konarskiej z pobliskiego Dubiecka, która zaopiekowawszy się poetką, otoczyła ją troskliwą opieką, wspierając stałą zapomogą miesięczną. U niej spędziła Bartusówna wakacje 1881 i 1882 roku. W Dubiecku też powstało kilka jej wierszy, poświęconych pejzażowi tamtejszych okolic, jak „Opuszczona kaplica", „Biała róża", oraz napisany na pożegnanie Dubiecka w roku 1882 „Ostatni raz":

Drżące mi gwiazdy rzekły nad Sanem
Pamiętaj nas!...
Gasnąc w zamgleniu złotoróżanym
Ostatni raz.
I zwolna wsiąkły jedna po drugiej
W niebieski sklep —
A przed mym okiem rozwił się długi,
Płaszczysty step! —
Drzewa szeptały w głuchym rozgwarze
Posępną wieść —
Że znów po obcych światów obszarze
Mam ból swój nieść —
I wpatrywały się zamyślone
W ubiegły czas —
A wiatr im zrywał liści korone
Ostatni raz! —
Jesienne astry wybiegły blade —
Nad srebrny staw —
I na tajemnicza wezwały rade
Gromady traw —
I zaś w zmaceną w znajomą patrząc wodę
Włożyły wraz —
A dzień się ubrał w smutną pogodę
Ostatni raz!...

Swej protektorce w Dubiecku w dowód hołdu ofiarowała też Bartusówna osobny wiersz pożegnalny: „Hr. Aleksandrze Konarskiej", w którym dziękuje jej za wszystkie przejawy opieki, jakich tu doznawała.

Poetka i w Nienadowej nie zagrzała długo miejsca. Odludzie, oderwanie od środowiska kulturalnego, ciężkie warunki pracy, rozwijająca się choroba, kazały jej po roku opuścić podgórską wioskę i podjąć pracę w Łazanach pod Wieliczką.

Dzieci ze szkoły im. Juliusza Bruna podczas uroczystości otwarcia galerii grafiki i malarstwa.

Fot. M. KOPEC

CZESŁAW KŁAK

Otwarte drzwi

Od pewnego czasu z uwagą śledzę działalność Teatru Zakładowego Domu Kultury w Stalowej Woli, kierowanego przez niestrudzonego miłośnika sceny — Józefa Żmudę. Interesują mnie nie tylko premiery. Wątpię nawet czy potrafiłbym wyliczyć je w chronologicznym porządku. Nie podlega jednak dyskusji to, że niektóre przedstawienia przynoszą zasłużony poklask swoim twórcom, inne, niezauważone lub przemilczane mijają bez echa. Kryje się w tym pewna prawidłowość. Dwa sprzeczne pojęcia: sukces i porażka są nierozdzielnie związane z dziejami sceny. Nie zawsze wiadomo, co publiczność i krytyka przyjmie dobrze, a co odrzuci i zgani. Każda nowa pozycja wprowadzona do repertuaru, każda nowa koncepcja reżyserska, a niekiedy i propozycja obsady sztuki związana jest z pewnym ryzykiem.

Amatorzy ze Stalowej Woli nie boją się ryzyka. Świadomie pozbywają formuły współczesnego teatru ochotniczego, teatru służącego określonym celom ideowym. W zasadzie obce jest im pojęcie sztuki jako hobby kilkunastu osób pragnących zaspokoić osobiste ambicje. Zespół zdaje sobie sprawę z tego, że działa w młodym, ale prężnym ośrodku przemysłowym, w mieście, w którym dokonują się ciekawe procesy socjologiczne i kulturowe, że linia i charakter owych przemian muszą być brane pod uwagę przy ustalaniu repertuaru, wyborze konwencji scenicznej itp. Prezentuje więc sztuki współczesne, poruszające żywotne problemy społeczne, obyczajowe i kulturalne. Rzecz jasna, to generalne założenie nie zawsze może być zrealizowane. Niekiedy trzeba sięgnąć do repertuaru klasycznego lub wręcz rozrywkowego. W niczym nie zmienia to jednak zasady: „bliżej widza".

Kibicowanie współczesności, to nie jedyny atut teatru ZDK w Stalowej Woli. Jego kierownictwo rozumie, że teatr musi być organizmem zasilanym nowymi sokami. Prowadzi więc słuszną politykę „otwartych drzwi", zmierzającą do wiązania ze sceną młodzieży szkolnej. Nie przypadek zrządził, że obok zespołu rekrutującego się z pracowników huty, w teatrze występują również młodzi aktorzy, stawiający pierwsze kroki na scenie młodzieżowej. Z kronikarskiego obowiązku wymieniam kolejne premiery tego zespołu: „Farfurka królowej Bony" Anny Świrszczyńskiej, „Zgadywanki literackie" (fragmenty utworów dramatycznych), „Poemat pedagogiczny" A. Makarenki i „Szczeniaki" Rogersa Ferdinanda.

„Szczeniaki" Ferdinanda są zabawną komedią, poruszającą problemy „trudnej młodzieży". Francuski pisarz posłużył się znanym w literaturze motywem. Bunt młodych przeciwko starym i konflikty stąd płynące ubrał w realia okupacyjnej rzeczywistości i postawił nienową tezę, że młodzież w gruncie rzeczy jest dobra, wrażliwa, uczuciowa, a jeśli nawet zachowuje się niesfornie, manifestując na zewnątrz cynizm i brak elementarnych zasad moralnych i obyczajowych, to źródłem jej buntu jest trafna ocena zepsucia dorosłych. Jeden z bohaterów sztuki mówi: „Nie można żądać od nas, żebyśmy posłuchali tych, którym się zdaje, że zjedli wszystkie rozumy świata. Niech oni zaczną. Niech się staną uczciwi, wspaniałomyślni — wtedy spróbujemy się z nimi dogadać. Niech nie czołgają się na kolanach przed pieniądzem, niech nie rozwijają przed nami całej gamy podstępów i oszustw, którymi jeden drugiego stara się powalić, wtedy dojdziemy do porozumienia. Ale jeśli traktują nas jak oszustów i nieporadów, kiedy pozwalamy sobie na drobną część tego, na co oni pozwalają sobie na całego, to nie będzie porozumienia między nami". Zdając sobie sprawę z pewnych uproszczeń takiego stanowiska oraz z tego, że gorące oskarżenie osiemnastoletniego Gabriela Lamy wymierzone jest przeciw stosunkom panującym w świecie kapitalistycznym, nie możemy zaprzeczyć, że niekiedy i w naszych warunkach problem podobnie się zarysowuje.

Młodzi amatorzy ze Stalowej Woli nieźle zaprezentowali się w tej sztuce. Zwłaszcza w pierwszym akcie byli autentyczni. Na scenie nie musieli „udawać", poruszali się i mówili swobodnie, tak jak w szkole lub w domu. W scenach późniejszych jako pozytywni bohaterowie byli jednak zbyt namaszczeni, zbyt sztywni i poważni. Fałsz tych scen odczuli również szkolni koledzy „aktorów", głośno komentujący w antraktach ich potknięcia. W sumie jednak przedstawienie należy uważać za udane.

Rogers Ferdinand — Szczeniaki. Komedia w 4 aktach. Przekład: Tadeusz Żeromski. Reżyseria: Józef Żmuda. Scenografia: Tadeusz Grabara. Udział biorą: Halina Chciukówna, Józef Żmuda, Roch Głazowski, Marek Haber, Ryszard Burek, Krzysztof Wiktor, Czesław Hałaj, Władysław Cebula, Andrzej Tarczyński, Stanisław Wyka, Andrzej Trojanowski.

Który katolicyzm jest autentyczny?

Do dziś jeszcze niektórzy politycy kościelni usiłują przedstawiać katolicyzm jako jednolitą strukturę dogmatyczną i organizacyjną. Jednakże twierdzenie to w konfrontacji z rzeczywistością okazuje się co najwyżej pobożnym życzeniem, albowiem właśnie w Kościele dokonują się zasadnicze podziały, uzewnętrzniające postawy różnorodne, a nawet przeciwstawne.

Źródło tych rozwarstwień i prądów znajduje się „na zewnątrz", trzeba się ustosunkować do szeregu nowych zjawisk współczesnego świata, z których najważniejsze domagają się decyzji zasadniczych. Należało ustosunkować się do ruchów robotniczych, powstania proletariackich partii politycznych i ideologii, która tym ruchom wyznaczyła kierunek rozwoju, niezależny od infiltracji zarówno myśli katolickiej jak i konkretnych działań polityków kościelnych. Trzeba było zająć stanowisko wobec całego splotu zagadnień związanych z rozwojem współczesnej cywilizacji naukowo-technicznej, z natury swej ateistycznej.

Stosunek negatywny bądź pozytywny do tych podstawowych zjawisk wyznacza też granice wewnątrzkościelnych podziałów, wewnątrzkatolickich sporów. Na ich tle wyłania się problem, który z wielu modeli lansowanych współcześnie w świecie katolickim jest najbardziej „autentyczny", to znaczy najbardziej zbliżony do ducha Ewangelii i najskrupulatniej zachowujący czystość doktryny.

Polaryzacja stanowisk jest znaczna, przy pełnym ich uwzględnieniu musielibyśmy dokonać przeglądu wszystkich kierunków — od skrajnie zachowawczych do zdecydowanie postępowych — z uwzględnieniem ich stanowisk wobec współczesnej cywilizacji i wobec lewicowych ruchów społecznych. Na skrajnej prawicy znajdą się surowi teolodzy, agresywnie ortodoksyjni, którzy wierzą we własne posłannictwo strzeżenia w nieposzlakowanej czystości „depozytu wiary". Bronią oni tego depozytu przed jakąkolwiek infiltracją świata, opanowywanego w coraz większej mierze przez ateistyczny marksizm. Na tej bazie powstają koncepcje Kościoła — oblężonej twierdzy, Kościoła — drogowskazu dla „zbłąkanej ludzkości".

To stanowisko zachowawcze, które w oczach własnych wyznawców jest jedynie „autentycznie chrześcijańskie", przekreśla jakąkolwiek możliwość kontaktów Kościoła ze światem — poza jedną tylko, która jest rozprzestrzenianiem zachowanej w czystej postaci „idei samego Chrystusa". Wynika stąd zasadnicza niechęć, a nawet wrogość do wszelkich zmian w świecie współczesnym, który rozwija się w „niewłaściwym kierunku", a także niechęć do jakichkolwiek „nowinek" wewnątrz myśli katolickiej i wewnątrz struktur organizacyjnych Kościoła. Wszystko to wydaje się bowiem niebezpieczne, zagrażające dotychczasowej sile „mistycznego ciała Chrystusa", która wywierała tak duży wpływ w epoce średniowiecznego „sacrum imperium". Każda zmiana — począwszy od tamtych czasów — jest według konserwatystów kościelnych zmianą na złe, uszczupla bowiem zakres oddziaływania Kościoła, a także jego wewnętrzną spójność. „Życie chrześcijańskie" popada w konflikt z życiem w ogóle, a nawet więź między nimi zostaje zerwana.

Na przeciwległym biegunie katolicyzmu powstają jednak kierunki ubiegające się również o miano autentycznie chrześcijańskich, które upatrują w konserwatywnej postawie integrystycznej największe zło współczesnego katolicyzmu. Grozi bowiem, twierdzą „postępowi katolicy", całkowita izolacja Kościoła i katolicyzmu od współczesnego świata. Idea „sacrum imperium", świętego władztwa, identyfikująca społeczność wyznaniową i społeczność świecką była wcielana w życie również siłą — w średniowieczu, dziś jest anachronizmem. Dziś katolicyzm, jeśli ma zachować swoją siłę witalną, musi nawiązać utraconą łączność ze światem, musi znaleźć własne miejsce we współczesnej cywilizacji, musi odpowiedzieć pozytywnie na postulaty współczesnego sposobu myślenia oraz przystosować się do faktu istnienia i rozwoju współczesnych ruchów społecznych.

I oto w łonie samego katolicyzmu następuje starcie dwóch kierunków, chwilami przypominające szturm do bronionej przez integrystów twierdzy Kościoła, przeprowadzany pod hasłem „przystosowania". Starcie to przybiera rozmaite postacie, ma rozmaity przebieg.

Znacznie dalej idą w kierunku modernizacji Kościoła — a także religijnego sposobu myślenia — środowiska katolickie, które „odważyły się", wbrew oporowi integrystów na bliższe kontakty z laicką lewicą społeczną. Kontakty te są różnorodne i prowadzą do różnorakich konsekwencji teoretycznych i praktycznych. Ruch tzw. katolickiej lewicy społecznej rozpoczął się od wystąpienia grupy „Esprit" z E. Mounierem na czele: „Jesteśmy socjalistami, dlatego, że jesteśmy personalistami chrześcijańskimi". Ruch ten aprobuje rewolucję ekonomiczną i socjalną oraz upatruje zadanie chrześcijan w równoległym przeprowadzaniu rewolucji „duchowej". Jednocześnie personaliści z „Esprit" zarzucają katolicyzmowi oficjalnemu i Kościołowi „oddanie się w pacht" burżuazji — jak się wyrażał Mounier: — natomiast chrześcijaństwo prawdziwe, przepojone rzeczywistym duchem apostolskim, to — jego zdaniem — chrześcijaństwo angażujące się po stronie klasy robotniczej przeciwko burżuazji, albowiem do proletariatu należy przyszłość współczesnego świata. Niektórzy przedstawiciele tzw. lewicy katolickiej, jak np. R. Voilaume, wręcz akceptują osiągnięcia ustrojów komunistycznych i postulują jak najściślejszą współpracę polityczną komunistów i katolików, wychodząc również z przesłanki, iż prawdziwe współczesne chrześcijaństwo musi wyciągnąć konsekwencje z rozwoju stosunków społecznych i politycznych współczesnego świata.

Istnieje jednak w Kościele wyraźnie ukształtowane pod przywództwem kardynałów Bea, Feltina, Lercaro, Koeniga i innych, którym patronuje duch papieża Jana XXIII tzw. skrzydło reformy, uznające nie tylko potrzebę zmian w Kościele, ale również rozszerzenia kontaktów — tzw. dialogu świata katolickiego ze światem komunistycznym. To ugruntowanie w hierarchii kościelnej patronuje — jawnie lub skrycie — nawet bardzo śmiałym nowym koncepcjom katolickim i stara się bronić je przed atakami kościelnej konserwy.

Jak widać żadne z ugrupowań, żaden z kierunków występujących współcześnie w świecie katolickim nie może pretendować do monopolu na „autentyczność". Wydaje się, że ten pozornie czysto teoretyczny spór ma jednak istotne znaczenie praktyczne. Na bazie sporu o „autentyczną" — czy też „prawowierną" — postawę katolicką skrajna prawica katolicka tak w krajach zachodnich, jak i socjalistycznych odsądza często od czci i wiary katolików angażujących się w światowy ruch lewicy społecznej, bądź biorących czynny udział w budownictwie socjalizmu.

T. P.

Korektor
i jego 17 fortepianów

W czasie Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie siada zwykle w niszy ostatniego okna sali balowej. Jego sylwetka jest również nieodłącznie związana ze wszystkimi koncertami Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie, w których biorą udział wybitni pianiści. Drobny, niewysoki o srebrnej czuprynie pan jest jakoby współtwórcą sukcesów, chociaż o nim nigdy się nie mówi. Jego udział doceniają jednak artyści i oni wiedzą, że gdy instrument do koncertu przygotuje inż. Witold Nowotarski, o swój występ mogą być spokojni. Fortepian nie zawiedzie.

Korektor fortepianów to lekarz, który w pierwszym rzędzie uznaje profilaktykę i jak najszerzej ją stosuje wobec swoich „podopiecznych". Utrzymanie instrumentu w stanie idealnym to główny warunek sprawnego działania. W ten sposób zapobiega się też większym awariom, o które przy tak skomplikowanych i czułych mechanizmach, jakimi są wszystkie instrumenty klawiszowe, bardzo łatwo. Dlatego i w czasie koncertów czuwa pan Witold, a jego absolutnemu słuchowi nie ujdzie najmniejszy fałszywy dźwięk i zostaje z miejsca zakwalifikowany do właściwej szufladki: awaria instrumentu lub wina artysty, a to się przecież nierzadko zdarza, nawet tym najwspanialszym.

Witold Nowotarski urodził się w Rymanowie i uczył się w Sanoku. Później „zdradził" Rzeszowszczyznę dla studiów politechnicznych we Lwowie i już na stałe nie wrócił w rodzinne strony. Obecnie mieszka w Wieliczce. Ale wydaje mi się, że jest ona oazą, do której chętnie wraca po wyczerpujących podróżach w służbie pianistyki.

O wyborze hobby zwykle decyduje przypadek. Obranie przez pana Witolda zawodu korektora fortepianów, który przez wiele lat traktował wyłącznie jako osobistego „konika" nie odbiega od schematu. W czasie słuchania transmisji koncertu wielkiego Artura Rubinsteina w gronie przyjaciół zwrócił uwagę, że fortepian mistrza jest bardzo rozstrojony. Wyśmiano go, twierdząc, że kto jak kto, ale wirtuoz tej miary co Rubinstein nie zasiadłby przy niesprawnym fortepianie. Tu ambicja młodego muzyka, jakim był wówczas pan Witold została poważnie zadraśnięta. Bo jak udowodnić swoją rację? Jednak na odsiecz przyszedł mu przypadek. Kiedy rozentuzjazmowane tłumy prosiły o bisy, Rubinstein z właściwym sobie urokiem podziękował za owację i wyjaśnił, że dalej grać nie może, gdyż fortepian jest zupełnie rozstrojony.

Autorytet młodego człowieka został uratowany, a on postanowił zgłębić tajniki korektury fortepianów. Był pianistą i studiował grę na skrzypcach u prof. Pawlisty, ucznia samego Friedmanna i Melcera. Pierwszym nauczycielem korektury został stroiciel fortepianów p. Boloński, który opiekował się fortepianem w domu Nowotarskich. Nabyte od niego umiejętności stały się w czasie okupacji głównym źródłem utrzymania pana Nowotarskiego. Później wrócił do swego zasadniczego zawodu inżyniera budownictwa lądowego, ale nie zatracał swej wiedzy z tej dziedziny. Korekturę traktował nadal jako hobby. I ta pracochłonna, wymagająca wieloletnich studiów pasja przydała się, gdy lekarze zalecili inżynierowi zajęcie w ciszy i spokoju.

Komitet Organizacyjny VII Konkursu im. Fryderyka Chopina powierzył mu wraz z korektorami Zajewskim i Sobieskim opiekę nad fortepianami, postawionymi do dyspozycji uczestników Konkursu. Przez 3 tygodnie 17 instrumentów do ćwiczeń, które warszawianie wypożyczają w swych mieszkaniach młodym wirtuozom będzie pod opieką pana Witolda. No i 2 wspaniałe „Petrofy" z kombinatu produkcji instrumentów muzycznych Hradec Kralove z Czechosłowacji. Firma ta — tradycyjnym już zwyczajem takich producentów światowej marki, jak Bechstein z Berlina, Steinway z USA, Bluethner z Lipska, Boesendorfer z Wiednia i Pleyel z Paryża — oddała do dyspozycji chopinistów na czas trwania Konkursu swe reklamowe fortepiany. Jeden z „Petrofów" królował w czasie przedkonkursowych występów polskiej ekipy w sali balowej zamku łańcuckiego. Inż. Nowotarski jest również konsultantem firmy „Petrof" i przekaże po konkursie swe obserwacje o tych fortepianach, które coraz szerzej zaczynają wchodzić na rynek światowy.

Pamiętacie rzeszowscy melomani estradowe wykonanie opery Henry Purcella „Dydona i Eneasz"? Pamiętacie metaliczny dźwięk klawesynu, górujący nad zespołem orkiestry symfonicznej, który z miejsca wprowadził atmosferę XVIII-wiecznej muzyki?

Nie, wówczas Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie jeszcze nie posiadała klawesynu, którego obecnie niejeden zespół jej zazdrości. To właśnie było dzieło inż. Nowotarskiego. Przez nałożenie na filcowe młoteczki fortepianu metalowych klamer, poczciwy rzeszowski Steinway mógł „udawać" przez kilka dni wspaniały klawesyn. Korektorzy potrafią więc „cuda" czynić!

Rozmawiała i wspominała
M. C. GUZIOŁEK

Inż. WITOLD NOWOTARSKI — korektor fortepianów.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Festiwal „Jazz nad Odrą"

W dniach 5—7 marca br. Wrocław gościć będzie II Ogólnopolski Festiwal Zespołów Jazzowych i Wokalistów. Organizatorem tej imprezy jest Rada Naczelna Zrzeszenia Studentów Polskich oraz Polskie Radio i redakcja miesięcznika „Jazz".

Ubiegłoroczny „Jazz nad Odrą", impreza ogromnie udana, zachęciła inicjatorów do zorganizowania następnego przeglądu czołowych studenckich zespołów jazzowych Polski. W czasie wrocławskiego „Jazz nad Odrą" przeprowadzi się również eliminacje do III Ogólnopolskiego Festiwalu Kulturalnego Studentów PRL, który po Krakowie i Gdańsku odbędzie się w Warszawie w dniach 6—10 maja br.

„Jazz nad Odrą" przygotowuje się z nie lada rozmachem. Siedzibą festiwalu jest Klub Jazzowy ZSP „Hot-Pałacyk". Program wrocławskich spotkań wypełnią uczestnikom wszystkie dni festiwalu. Uroczyste otwarcie odbędzie się w sali lustrzanej „Pałacyku" 5 III, następnego dnia trzy koncerty festiwalowe i o godzinie 24 Jam Session, w czasie którego ogłoszone zostaną wyniki eliminacji. 7 marca Koncert Laureatów Festiwalu w sali studia Polskiego Radia, a wieczorem Wielka Rewia Jazzu i Piosenki w sali Filharmonii, połączona z wręczeniem nagród.

Przewiduje się m. in. dyskusje na temat jazzu i pracy klubów oraz roli muzyki w studenckim ruchu kulturalnym. M.G.

Co wiatr niesie

Przemienienie

Nigdy nie przypuszczaliśmy, że nasza redakcja mieści się w renesansowym zamku w Krasiczynie. Nawet bylibyśmy zdumieni, gdyby nam to ktoś powiedział. A jednak... Logika faktów jest nieubłagana.

Oto od jednej z naszych czytelniczek otrzymaliśmy pocztówkę kolorową wydaną przez Biuro Wydawnicze „Ruch" w nakładzie 30.000 egzemplarzy przedstawiającą gmach, w którym mieści się KW PZPR i nasza redakcja. Podpis w czterech językach brzmi: „Krasiczyn — Renesansowy zamek zbudowany w latach 1589—1644. I w ten sposób od decyzji „Ruchu" nie ma odwołania. Przeniesiono nas do Krasiczyna nie pytając nawet o zgodę. Prawdopodobnie za pomocą innej pocztówki przeniesiono autentyczny renesansowy zamek z Krasiczyna do Rzeszowa, ale co to dla nas za pociecha.

Różnie zaskoczona tą arbitralną decyzją była nasza czytelniczka. Świadczy o tym jej korespondencja na pocztówce: Pozdrowienia spod renesansowego Domu Partii przesyła zdumioną swą nieznajomością architektury Krasiczyna — czytelniczka".

A może by jednak pozostawić wszystko po staremu?

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Trzy kulty

Znam ich nieporównanie więcej. Dużo. Ale te trzy właśnie najsprawniej atakują nasze obyczaje, najszybciej docierają do świadomości obserwatora, są najbardziej denerwujące, a co gorsza, w swojej rzekomej nieszkodliwości ubierają się w pozory dobrych zainteresowań. Są to: kult dyplomu, kult pieniądza i... kult słownika wyrazów obcych.

Dwa pierwsze kładę obok, a nawet równolegle z rzeczywistymi osiągnięciami dwudziestolecia, co choć brzmi paradoksalnie, postaram się udowodnić; z trzecim poradzić sobie łatwiej, zakwitł pasożytując na kulcie intelektualnego snoba. Jest może bardziej nieuchwytny i trudniejszy w rozszyfrowaniu, przy tym piekielnie prowincjonalny — smutny kult.

Pierwszy dziesiątek lat mozolnie wypracowywał pewien model inteligencji.

Istniejące zapotrzebowanie społeczno-gospodarcze na człowieka z dyplomem o dużym stopniu fachowości, przy tym organizatora swojego odcinka pracy — słowem na człowieka o dużym zasobie wiedzy powinno rodzić, zdawaćby się mogło, kult tej wiedzy, żarliwą pasję w jej gromadzeniu. Czy tak było? Na pewno. Czy tak jest? Tu mam wątpliwości. Nie ja jedna zresztą. Służyć przykładami mogłabym; niech wystarczy jeden, ale poważny, wynikający z niepokojów pedagogów uniwersyteckich: reorganizacja studiów na wydziałach matematyczno-przyrodniczych, bijąca w brak przygotowania do zawodu i kładąca o wiele większy nacisk niż to miało miejsce do tej pory, na ścisłą specjalizację.

Jest rzeczą bezsporną, że kult wiedzy powolutku acz konsekwentnie ewoluował w kierunku kultu dyplomu, co już samo w sobie jest zjawiskiem ujemnym, prawie katastroficznym dla twórczej inteligencji. Niewiele w tym objawie galicyjskiego przywiązania do tytułów, bo też nie o to rzecz się rozbija czy ktoś robi magisterium lub doktorat, problem ma zasięg szerszy, przez to groźniejszy, bo dotyczy całej gromady absolwentów uniwersyteckich i innych uczelni, którzy wędrując w świat z pewnym zapasem wiadomości, wystarczającym na razie do podjęcia pracy, ale zupełnie skromnym, by wystarczył już na całą resztę życia, uważają, że definitywnie zamknął się ten rozdział ich działalności, który polegał na nieustannym gromadzeniu wiedzy. Wiedza konieczna została przyswojona i opieczętowana dyplomem; faramuszki o pełnej gotowości psychicznej umysłu do przyjmowania nowych pojęć idą do lamusa rzeczy nieprzydatnych na co dzień, wytwarzać się zaczyna natychmiast nastrój niedołęstwa umysłowego, często elegancko przysłonięty awansem ściśle zawodowym. Zaryzykowałabym nazwę, że wytwarza się typ i n t e l i g e n t a s k o ń c z o n e g o, który z chwilą osiągnięcia upragnionego dyplomu, a w jego konsekwencji stanowiska, zamknął, skończył proces wysilania swej inteligencji w coraz szerszym jego rozumieniu. Od tego momentu chłonie nie skarby wiedzy, ale już te zupełnie doczesne, w postaci samochodu, własnego domku itp.

Angażując w młodości cały wysiłek w uzyskaniu już niezbędnej dziś do nich legitymacji jaką jest dyplom, nieco później przystrojony w jego laury buduje skutecznie nową broń własnej fachowości, która w wielu wypadkach zręcznie pozoruje pustkę intelektualną. Groźny typ. Trochę przerażający w środowisku mu podobnym, które także jest zafascynowane kultem dyplomu, jednocześnie tolerując ciasnotę umysłową.

Groźny typ, bo modeluje nowy schemat życia, gdzie również drugi z kultów odgrywa niepoślednią rolę — kult pieniądza.

Dawne to czasy i wypadałoby je już między bajki zepchnąć, kiedy gros inteligencji zadowalało się skromniutką egzystencją, w jeszcze skromniejszym mieszkanku, gromadząc trochę książek, płyt i coś do spania. Model przeżył się. Wykoślawił. Dziś, owszem są książki, zbyt często nie czytane, by były czymś więcej niż dekoracją, ale to „coś do spania" urosło do gigantycznych rozmiarów pseudonowoczesnych kompletów mebli, manii na secesyjne starocie, kosztujące majątek, a nierzadko w złym tonie, nie mówiąc o najnowszych zdobyczach cywilizacji kuchennej. I właśnie nagromadzenie tego wszystkiego, co mogłoby być zbędne aż w takiej masie, niepostrzeżenie zaczyna określać pozycję społeczną inteligenta.

Nazwać to klęską dobrych gustów byłoby przesadą, zauważyć i wyśmiać wydaje mi się prawie konieczne.

I wracam do tego, co powiedziałam na wstępie: idzie sobie ten procesik wiary w pieniądz, obejmujący wprawdzie niewielką, ale coraz bardziej widoczną grupę ludzi, w parze z rzeczywistymi osiągnięciami dwudziestolecia. Kroczy poważnie naprzód wraz ze wzrostem stopy życiowej, ale w sumie oznacza regres kulturalny. Taki sobie pozornie niewinny kulcik, za którym można się dowąchać pleśni mieszczańskiego pufa.

A gdy na pufie rozsiądzie się młody snob, rozeznany we wszystkich izmach i miast przyjmować do wiadomości uprawia recepcję nowych wartości, w poezji bezbłędnie odróżnia turpizmy od surrealizmów, wyśmiewając wrażliwość i wyobraźnię, bo przeżyte, gdy miast ujemnie oceniać widzi rzecz pejoratywnie, gdy z ludzkiego, pięknego języka potocznego robi bombastyczne wypowiedzi — to już mamy do czynienia z kultem dla obcego słowa, który we mnie osobiście wzbudza niedobre ciągoty, by walnąć na odlew brzydkim staropolskim zwrotem. I kto wie, czy nie wolę „chaty, cizi i szkła", bo choć to szpetne, ale przynajmniej szczere.

Toteż kiedy w środku nudnej partii brydża, na moje skromne piki i trzy bez atu kontrpartnerów słyszę o frustracji, alienacji i dewaluacji demokratyzacji, mam ochotę ryknąć za Mrożkiem: „Cztery piki skurczybyki". Excusez le mot — ale jak ten człowiek genialnie zastąpił indolencję niemożnością! Obejrzyjcie „Indyka", poczytajcie „Tango"...

Zdarzenia tygodnia

Tydzień temu donosiliśmy o premierze „Bliźniaków z Wenecji" Carlo Goldoniego w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie.

W dniu 20 lutego, w Domu Kultury Górnika - Naftowca w Krośnie odbywa się premiera kolejnego przedstawienia, przygotowanego przez ten teatr. Jest to komedia współczesna Jana Pawła Gawlika pt. „Pokusa".

Znany krakowski krytyk teatralny i publicysta „Życia Literackiego" porusza problemy dzisiejszego małżeństwa, mówi o sprawach wierności i zdrady, miłości i obowiązku, o wzajemnych konfliktach i koniecznych kompromisach. Sztukę reżyserowała Elwira Turska, scenografię opracował Jerzy Szymański.

* * *

Trwają intensywne przygotowania do obchodów 600-lecia Jasła. Szczególnie atrakcyjnie przedstawia się ustalony ostatnio na poszerzonym posiedzeniu Oddziału Powiatowego Związku Teatrów Amatorskich program tradycyjnych Dni Teatralnych. Przewidziano udział sześciu miejscowych zespołów teatralnych i występy zespołu PZGS z „Jasielskim programem jubileuszowym", spotkania z autorami wystawianych sztuk (Markiem Domańskim, Krzysztofem Gruszczyńskim i Stanisławem Iłowskim oraz kierownikiem literackim Teatru im. Wandy Siemaszkowej — Jerzym Pleśniarowiczem). Wystąpi również gościnnie Teatr im. Wandy Siemaszkowej i amatorski teatr żywego słowa „Meluzyna" z ZDK WSK Rzeszów oraz odbędzie się koncert słowa w wykonaniu recytatorów, uczestników konkursów recytatorskich.

* * *

W niedzielę, 14 bm., w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej odbył się koncert laureatów przeglądu wojewódzkiego XI Konkursu Recytatorskiego z kategorii młodzieży szkolnej, zorganizowany przez Kuratorium Okręgu Szkolnego i Międzyszkolny Ośrodek Prac Pozalekcyjnych. Po koncercie szkolny zespół teatralny z Jarosławia wystawił sztukę Krystyny Salaburskiej pt. „Piotr".

P.S. Przy okazji prostujemy błędnie podane nazwisko wyróżnionego w przeglądzie wojewódzkim Jerzego Botiuka z Boguchwały.

* * *

18 bm. w Ognisku Muzycznym w Jarosławiu odbył się recital Urszuli Federowicz (fortepian) i Stefana Ząbka (skrzypce) — koncertmistrza Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie. W programie koncertu znalazły się utwory Beethovena, Chopina, Veraciniego, Paganiniego i Czajkowskiego.

* * *

Muzeum w Łańcucie zorganizowało cykl odczytów, poświęcony sztuce polskiej XIX i XX wieku. Prelegentem będzie znany popularyzator wiedzy o sztuce — prof. krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych — Włodzimierz Hodys.

* * *

W ubiegłą sobotę odbyło się kolejne zebranie członków rzeszowskiego Klubu Literackiego, w którym uczestniczył Stefan Otwinowski — prezes krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich, krakowski poeta Adam Włodek, oraz przedstawiciele Wydziału Kultury Prezydium WRN i KW PZPR. Stefan Otwinowski mówił o założeniach pracy klubu oraz ocenił działalność podobnych organizacji w kraju, jak również przedstawił formy pomocy, jakiej rzeszowskiemu klubowi będzie udzielał krakowski ośrodek literacki.

* * *

Ostatnio ukazała się jako specjalne wydanie (nadbitka) Rocznika Przemyskiego praca dr Kazimierza Gottfrieda pod tytułem „Z przeszłości Radymna".

* * *

W klubie pracowników Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie czynna jest wystawa malarstwa Jadwigi Dzidzielewicz. Jest to nowy zestaw prac tej malarki, na który składają się kompozycje i portrety.

* * *

Dzięki staraniom Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie, powtórnie w województwie rzeszowskim występuje znany piosenkarz — Tadeusz Woźniakowski i Łucja Prus. W dniu 15 i 16 bm. w Rzeszowie odbyły się koncerty dla młodzieży, następnie w nowo otwartym klubie „Polnej" w Przemyślu i w Stalowej Woli. Dyrygował T. Chachaj.

* * *

W województwie rzeszowskim przebywał zespół Estrady Opolskiej z programem zatytułowanym „Piosenka i pantomima", w którym wystąpili: Fryderyka Elkana, Jan Danek, Katarzyna Gaertner i Janusz Kieszczyński.

Opolski zespół odwiedził prawie wszystkie miasta powiatowe naszego województwa.

* * *

Pierwszy dyrygent Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie Janusz Ambros, gościnnie prowadził koncert orkiestry w Opolu. Program koncertu obejmował Symfonię C-dur Józefa Haydna, Koncert wiolonczelowy Jana Maklakiewicza oraz Uwerturę Janusza Ambrosa „Motto perpetuo".

Koncert Maklakiewicza wykonał młody wiolonczelista Roman Suchecki.

„Pasażerka" najlepsza w Anglii

Brytyjskie Stowarzyszenie Krytyków Filmowych uznało „Pasażerkę" Andrzeja Munka za najlepszy film wyświetlany w Anglii w 1964 r. ex aequo z amerykańskim „Dr Strangelove", reż. Stanleya Kubricka.

Tytuł najlepszych aktorów uzyskali: Szwedka Ingrid Thulin („Milczenie"); Amerykanka Anne Bancroft („Zjadacz dyń"); Anglik Richard Attenborough („Seans w deszczowe popołudnie") i Amerykanin Sidney Poitier („Lilie polne").

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.